

Moja walka z rakiem

(15)

2 czerwca 2019

Jak się dowiedziałem już wcześniej od chorych leżących ze mną albo w stojących w kolejkach za badaniami, po każdym kursie chemioterapii jest się oklapniętym co najmniej 2-3 dni. Dotychczas tego nie przeżyłem, pierwszy kurs przeszedłem stosunkowo łagodnie, ale widzę, że teraz to już nie będzie tak łatwo. Czuję się fatalnie. Ważę już tylko 64 kilogramy. Jestem w coraz gorszej kondycji fizycznej. I słaby. Nie pamiętam, kiedy tyle ważyłem: w kopalni, na studiach, a może podczas choroby Tereni? Na pewno dawno, dawno temu. Na skórze zrobiły mi się czerwone plamy, prawdopodobnie po chemioterapii. Nie swędzą mnie co prawda, ale są widoczne. Zmiany te zauważyłem dopiero w piątek po południu, gdy szedłem do sklepu w koszuli z krótkim rękawem. Oczywiście, że zaraz po powrocie ubrałem koszulę z długim rękawem, aby osłonić czerwone plamy na rękach przed słońcem, bo wiem, że słońce działa negatywnie na ciało. Po śniadaniu co prawda pojechaliśmy na spacer do lasu, ale byłem w dżinsowych spodniach i flanelowej koszuli. Przeszliśmy się tradycyjną trasą i nie na słońcu, ale w cieniu drzew, więc nie mogło mi to w niczym zaszkodzić. Na obiad zjadłem kawałek kurczaka z surówką, którą Halinka zrobiła na moje życzenie, zostawiając drugą część na poniedziałek. Kiedyś zjadałem taką porcję na raz. Dziś jest to niemożliwe. Po południu, po krótkiej drzemce, byłem też w szpitalu w ośrodku pomocy nocnej i świątecznej, by zrobić ostatni zastrzyk. Zajrzałem też do dyżurującego lekarza. Mówię jej, akurat była to kobieta, że wróciłem w czwartek z chemioterapii i pokazując zaczerwienie na powierzchni mojej skóry. Nadal to się rozszerza, choć zbytnio nie swędzi. Wystarczy, że tylko skórę pomasuję i sprawia mi to jakąś ulgę. W niedzielę pojawiły się już czerwone plamy na biodrach, na udach, na plecach. Informuję też, że będę we wtorek w Rzeszowie na chemioterapii uzupełniającej, więc powiem o tym onkologowi. Ale jeśli ona chce teraz jeszcze mi coś zaaplikować, to pójde do apteki i wykupię lek. Dała mi na wszelki wypadek jakąś receptę, której jednak w niedzielę nie wykupiłem, bo musiałbym udać się do dyżurnej apteki. Ale gdzie jej szukać w niedzielny wieczór, gdy jestem już tak zmęczony. Postanowiłem zrobić to w poniedziałek. „Niech pan stosuje lekarstwo bardzo uważnie, upomina, delikatnie smarując na skórze na niewielkiej powierzchni i obserwując reakcję organizmu”. Zabroniła mi stosować lek od razu na całym ciele, tam, gdzie mam zaczerwienioną skórę. Dostosowałem się do jej wskazań i nie wykupiłem lekarstwa. No cóż, skoro od chemioterapii, to powinno przejść samo, gdy chemia przestanie już tak intensywnie oddziaływać. A

skonsultuję jeszcze z onkologiem w Rzeszowie.

3 czerwca 2019

Myślę już o jutrzejszej jeździe do Rzeszowa i duchowo się do niej przygotowuję, choć jestem zbyt słaby, by mi dali chemię uzupełniającą. Ale może? Podobnie jak w niedzielę tak i w poniedziałek coś tam wymyślą Halince do jedzenia lub picia, nawet galaretkę z owocami polewaną kremem ze śmietany. W sobotę piłem kompot, podobnie w niedzielę, ale mam już go dość. Nie chcę więcej. Powiedziałem Halince, że w poniedziałek pić będę tylko herbatę z cytryną, tym bardziej że cały czas cieknie mi z nosa. Jest to jakiś chroniczny katar, z którym muszę walczyć czy się użerać i to od kilku dni, ale sam nie wiem czy wywołany jest lekami, czy też wiosennym pyleniem drzew i kwiatów. A może flegma weszła mi tak głęboko do płuc i oskrzeli, jeszcze gdy leżałem w szpitalu na chirurgii? I teraz dlatego tak wolno wydobywa się ze środka, gdy piję czy jem? Na biurku mam pełno chusteczek higienicznych i bawełnianych, wypranych przez Halinkę. Posługuje się nimi na przemian. Zbyt zaflęgnięte jednorazowe wyrzucam do śmietnika, a te bawełniane suszę i wrzucam do pralki.

Na obiad jem wczorajszą część kurczaka, którą sam podgrzewam na kuchni z pokrojonymi trzema połówkami młodego ziemniaka. Do tego jem surówkę z kiszzonej kapusty. I popijam herbatą z cytryną. Nie chodzę głodny, choć jem tyle co kurczaczek, ale często, by jeliła miały co trawić. Niektóre rzeczy są moim pomysłem, inne Halinki. Na pewno mleko z płatkami kukurydzianymi to mój pomysł, podobnie jak jajko w majonezie z ogórkiem kiszonym posypane szczypiorkiem.

4 czerwca 2019

Jadę do Rzeszowa na uzupełnienie ubiegłotygodniowej chemioterapii. Bus mam o 5.55. Wczoraj spakowałem niezbędne rzeczy. Ubieram dżinsy i koszulę flanelową. Na termometrze 14 stopni. Nie powinno być chłodno. Ale na wszelki wypadek biorę parasol, by nie być Polakiem po szkodziu. Choć mam wątpliwości, czy będzie mi potrzebny. Piękna pogoda, ale przecież zapowiadali burzę w nocy i również w ciągu dnia. Rzeszowie jestem już po 7.00, a w szpitalu – po 7.30. Znam już drogę do centrum dobrze. Idę bez wahań i wątpliwości. Przed gabinetem, gdzie pobierają do badania krew, nie ma zbyt wielu pacjentów. Ale czy to pomoże mi w szybkim załatwieniu? Doktor P. powinna rozpocząć badania pacjentów o 8.00, tak widnieje na tabliczce, a w rzeczywistości przychodzi do gabinetu dopiero po 9.30, pewnie dopiero po wizycie na oddziale, która zawsze rano odbywa się z udziałem prof. B., ordynatorem. Jak zwykle wywoływanie pacjentów odbywa się wg harmonogramu czy scenariusza, który czekającym przed gabinetem nie jest znany. Ale zdaje się, że przyjmują najpierw tzw. przypadki najcięższe, a dopiero potem innych pacjentów. Czekających multum. Niby wziąłem

jakąś lekturę i notatnik, ale nic nie chce mi się robić. Czekam i myślę, kiedy zostanie przyjęty. Mija jedna godzina, druga, trzecia. Nic nie wiem, czy nawet jestem zarejestrowany. Tylko tak uważam. Wreszcie pielęgniarka wynosi jakąś listę, na której widnieje także moje nazwisko. Jest zamalowane na czerwono. Przynajmniej wiem, że jestem na liście. Bo miałem wątpliwości. A może należało zrobić EKG? A ja nie wziąłem skierowania, bo nie było na nim terminu, więc potraktowałem, że dotyczy rozpoczęcia kolejnego kursu chemioterapii, który ma się odbyć za 2 tygodnie. Wreszcie około 12 jestem wezwany do gabinetu. Pokazuję dr P. moją zaczerwienioną skórę na rękach, plecach i na pośladkach. Pyta mnie, czy czuję swędzenie. Mówię, że nie i że byłem z tą dolegliwością na pogotowiu w Stalowej Woli. Pyta mnie dalej, czy chodziłem obnażony po polu. Mówię, że nie. Byłem na spacerze w lesie, ale w dżinsach i flanelowej koszuli. Nie zapisuje mi na zaczerwienie skóry żadnych leków poza receptą, którą już dostałem. Natomiast aplikuje mi kolejną dawkę zastrzyków Zarzio 48 ml j., w sumie 5, po jednym dziennie, które mają pobudzić mój szpik kostny do produkcji leukocytów. Kupuję wszystko w aptece szpitalnej, podobnie jak poprzednio, patrząc na cenę 5 zastrzyków. Kosztują 420 zł, ale płacę ryczałtem – 42 zł. Niestety, chemii uzupełniającej nie otrzymałem. Wracam do domu wściekły na niepotrzebny przyjazd, zmarnowany czas. Powiedziałem jeszcze dr P.: jaki ma to sens, żebym przyjeżdżał tutaj rano i odjeżdżał z niczym w południe. Otrzymuję na to odpowiedź: „niestety, nie rozerwiemy się czy nie rozdwoimy”. No cóż, nie będę bić głową w mur. Czasami mi się wydaje, że czytam „Czarodziejską Górę” Tomasza Manna.

5 czerwca 2019

Zaczynam się odżywiać według smaków. Rano jem biały ser, przyrządzony przez Halinkę, który wzmacniam niewielką ilością śmietany i majonezu. Tak, do smaku. Po godzinie zabieram się za śledzia w oleju i majonezie. Jajko w majonezie przekładałam na 10.30. Nie wolno od razu się tak obżerać, choć apetyt powoli odzyskuje. Na obiad każe sobie przygotować stek z surówką z kiszzonej kapusty. I to wszystko zjem, choć bez żadnego pieczywa, poza bułką wczorajszą, którą jadłem do śniadania. Niestety, na razie żadnego pieczywa i ziemniaków. Nie przechodzą przez gardło. Planuję je dopiero na piątek z kefirem i jajkiem sadzonym. W czwartek zaś na obiad zaplanowałem wątróbkę drobiową z konserwową czerwoną papryką. O śledziu po chłopsku czyli w oleju z majonezem i kiszonym ogórkiem czy jajku już nie wspominam, bo jest to prawie w moim codziennym menu.

Zmiany na skórze ze się zmniejszają, choć jeszcze są dość widoczne, ale wierzę, że obejdzie się bez specjalnych lekarstw czy maści. Mam nadzieję, że znikną same.

Miroslaw Osowski